

Opowiadanie

KONFERENCJA DLA PROFESJONALISTÓW

Pociąg jak zwykle spóźnił się kilka minut, a na zewnątrz dworca przywitał mnie silny wiatr. Walcząc z podmuchami, podążyłem znaną mi na pamięć drogą w kierunku Ministerstwa Edukacji Narodowej. Zdecydowanie nie przepadałem za wizytami w stolicy i wczesnymi pobudkami. Ale nie miałem prawa narzekać. Zawarty w zeszłym roku kontrakt z rządem na zakup i instalację naszego programu *Cherubin* zmienił mój mały biznes w jedną z lepiej prosperujących na rynku firm komputerowych. Obecnie byliśmy o krok od zakończenia negocjacji w sprawie dostawy dodatkowego modułu *Aniołek*. Jeśli rzeczywiście doszłoby do podpisania umowy i wdrożeń w całym kraju, mógłbym do końca życia utrzymywać się z samych tylko corocznych opłat za konserwację i utrzymanie systemu. Gra była więc warta świeczki, a koniunktura po ostatnich wyborach bardzo sprzyjająca.

Po drodze spojrzałem na jeden z dwudziestu tysięcy naszych billboardów przedstawiających skrępowaną dziewczynkę w obowiązkowym szkolnym mundurku i z tornistrem ze świeatełkiem odblaskowym na plecach. Po splecionej z komputerowych kabli, monitorów, klawiatur i myszek pajęczynie zbliżał się do niej ogromny, kosmaty pająk z wypalonym na odwłoku napisem *INTERNET*. Do jego haczykowatych odnóży przyczepione były kolorowe cukierki z napisami: *Pornografia, Narkotyki, Alkoholizm, Ściagi, Cywilizacja śmierci, Liberalizm, Węgry, Sekty, Ateizm, New age, Brzydkie wyrazy, Aborcja, Eutanazja, Nihilizm...* Tak, nagły atak jadowitych, spoglądających wieloma parami oczu szcękoczułkowców domagał się szybkiej interwencji rządu. *Cherubin*, za który dostaliśmy od ministra tytuł *Firmy, o czystym sercu*, chronił już młodzież przed szkodliwymi treściami płynącymi siecią z Zachodu w szkołach, ale co z komputerami w domach?

Wchodząc głównym wejściem do ministerstwa, uśmiechnąłem się: zaledwie trzy miesiące temu *Aniołek* był tylko nic nieznaczącym pomysłem w mojej głowie... Pamiętam jak żartowaliśmy po wyjściu z pierwszej prezentacji. Pani Anetka, moja sekretarka, pokładała się ze śmiechu, gdy właśnie tutaj na schodach odgrywałem raz jeszcze scenkę z gabinetu ministra. Naśladując głos starszej podsekretarz stanu, właścicielki rzucającego się w oczy, drewnianego krzyża na piersiach, zaskrzeczałem:

– A mógłby pan wyjaśnić takim zrozumiałym językiem, jak ten program *Aniołek* ma w ogóle działać?

Przyjąłem wtedy bardzo uduchowioną minę, rozłożyłem ręce jak do modlitwy i zacząłem powoli mówić:

– Oczywiście, już wyjaśniam. Otóż z technicznego punktu widzenia jest to skomplikowany i bardzo zaawansowany program, wykorzystujący najnowsze techniki sztucznej inteligencji do kontroli nie tylko przeglądarek internetowych, ale także programów pocztowych i popularnych komunikatorów. Nasz informatyk może za chwilę wyjaśnić jeszcze raz wszystkie szczegóły, ale nie wdając się w nie, powiem może tylko tyle, że nasza firma chciałaby otoczyć młodzież siecią *Aniołków* jak różańcem – zrobiłem półkolisty ruch dłońmi – którego poszczególne koraliki będą mogły się ze sobą komunikować, ściągając wszystkie dane do bezpiecznej bazy w ministerstwie – złączyłem ręce.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, jak zrobiła to pani podsekretarz i znów zaskrzeczałem:

– To jest wspaniałe! Chwała Panu, że coś takiego zostało stworzone! Co pan myśli, panie ministrze?

– Myślę, że tego właśnie szukamy. Panie Bielmowski, nasi ludzie skontaktują się z panem w ciągu dwóch tygodni i myślę, że będziemy się starać o sfinalizowanie umowy jeszcze w tym roku. Dziękuję bardzo. Do widzenia – odpowiedziałem sobie basowym głosem ministra.

– To my dziękujemy. Do widzenia. Z Bogiem – dodałem, spuszcżając głowę na piersi, a

wtedy już nie tylko pani Anetka, ale i pan Marek, księgowy, i pan Zbyszek, główny informatyk, wszyscy parsknęliśmy donośnym śmiechem, *panie prezesie, ja nie będę już więcej jeździła z panem na te prezentacje do ministerstwa, bo się kiedyś po prostu posikam ze śmiechu i nas wyrzucą za drzwi!*

Na szczęście dziś pani Anetka nie musiała obawiać się o stan swojej bielizny. Zapewne jeszcze smacznie spała, przynajmniej miałem nadzieję, że udało jej się drugi raz zasnąć po naszej wczesnej, wspólnej porannej pobudce. Jednoosobowe zaproszenie na *Konferencję dla profesjonalistów*, które trzymałem w ręce, przysłano nietypowo na mój adres domowy. Z dołączonego listu, na który rzuciłem tylko okiem, wynikało, że chodziło o prezentację i konsultację jakiegoś nowego programu ministerstwa. Papierowe strzałki z wejściowego holu szybko zaprowadziły mnie na drugie piętro w prawym skrzydle gmachu, gdzie już kłębił się spory tłumek. Odkłoniłem się z daleka kilku znanym osobom – prezesom firm, którzy tak jak ja cieszyli się udaną współpracą z rządem. Pomyślałem, że plan na dziś mógłby wyglądać następująco: drzemka na konferencji, w przerwach rozmowa z ludźmi z ministerstwa o postępach prac nad *Aniołkiem*, po wszystkim wyjście do jednego ze stołecznych klubów. Dzięki Bogu wciąż jeszcze istniały, dzielnie odpierając ataki władz, których przedstawiciele notabene, od czasu do czasu można było w nich spotkać. No cóż, zapewne poświęcali się po godzinach, osobiście dokonując inspekcji ohydy i plugastwa...

Uśmiech skradł mi dźwięk dzwonka, który nagle rozłukł się nieznośnie po korytarzu i moich uszach. Była punkt dziewiąta. Otwarto drzwi wysokiej auli. W jej wnętrzu znajdowały się równo poustawiane, jednoosobowe, szkolne stoliki. Asystentki przy wejściu starały się powtarzać entuzjastycznie: *bardzo prosimy zajmować miejsca, według karteczek z nazwiskami, alfabetycznie od lewej, kolumna pierwsza nazwiska od A do D, kolumna druga od E do H, kolumna trzecia...* Szybko znalazłem właściwy szereg: *Bielińska, Bielmo, Bień, Biernatowski...* Dziwne.

– Przepraszam. Nie mogę znaleźć swojego miejsca – zagadnąłem jedną z pań czuwających nad sprawną organizacją konferencji.

– Jak się pan nazywa? Ma pan zaproszenie?

– Piotr Bielmowski. Proszę.

– Widzi pan, co tutaj pisze? Trzecie piętro, pokój szesnaście – kobieta z lekką irytacją w głosie wskazała na zadrukowane miejsce palcem. – Pan zdaje tylko ustnie. No no, komisja samego pana wiceministra Krupy...

Z jednej strony ucieszyłem się, że moje cztery litery właśnie zostały cudownie wybawiane od dłuższego, intymnego spotkania z twardym krzeselkiem. Z drugiej strony, uwaga asystentki zasiała we mnie niepokój; i nie wiązał się on bynajmniej z nazwiskiem wiceministra, jedyne, z którym nie miałem jeszcze wątpliwej przyjemności poznać się osobiście w tym roku...

– Pan Bielmowski? Witamy serdecznie. Krupa, wiceminister. Proszę siadać.

Zająłem miejsce za wielkim stołem przykrytym obrusem zielonego sukna. Oprócz przedstawiciela resortowej władzy na przeciw mnie siedziały jeszcze cztery inne osoby. Drugie od lewej miejsce zajmował, słusznych rozmiarów, sześćdziesięciokilkuletni mężczyzna ze szczecina ostatnich włosów szukających bezpiecznego schronienia za uszami. Wyglądał jak, wbity w garnitur i napompowany do granic wytrzymałości kamizelki, Gargamel, który dodatkowo musiał cały czas toczyć nierówną walkę z próbującym objąć go Morfeuszem. Obok niego siedziała nieco młodsza i ustępująca mu wagą kobieta z kręconymi, kasztanowymi włosami. Miała na sobie niemodną, zieloną bluzkę z fantazyjną broszką, zdradzającą artystyczną duszę właścicielki. Dalej, krótko obstrzyżony i ze znaczkiem *Ligi Młodych* w klapie, dwudziestokilkulatek, w którym po chwili rozpoznałem pana Grabka, naszego podwykonawcę wdrożeń w stolicy. Ostatnie miejsce należało do człowieka, który z wyglądu łudzaco przypominał pierwszego pana, siedzącego zaraz obok wiceministra. Był jednak od niego znacznie młodszy – szeroka łysina na środku czaszki nosiła znamiona wyraźnie zamierzonej, fryzjerskiej interwencji. Osobnik ubrany był w mocno przybrudzony, biały habit, i cały czas badawczo przyglądał mi się swoimi małymi, szarymi oczkami. Najbardziej tępe wrażenie z całej piątki po drugiej stronie stołu robił swoją toporną, ogorzałą twarzą wiceminister.

– Zacznę może od przedstawienia panu naszej komisji, której mam zaszczyt i przyjemność przewodniczyć – kontynuował Krupa. – Kolejno, po mojej lewej stronie: profesor Balonowski, wybitny i zasłużony dla naszego ministerstwa polonista; pani Żabczyńska ze Stołecznego Konserwatorium; świeży narybek, pan Grabek, magister geografii; oraz wielce czcigodny ojciec doktor habilitowany Mieczysław Miąż-Miazga Miażdżyński, zwany także przez naszą ukochaną młodzież *Imadetkiem* – Krupa spojrział z uśmiechem na zakonnika, ale ten tylko lekko skinął głową, nie obracając się w stronę przewodniczącego i nie tracąc z oczu mojej osoby. – Ojciec doktor pracuje u nas na stanowisku Głównego Wizytatora – wyjaśnił wiceminister, zwracając się z powrotem do mnie. – Jesteśmy bardzo zadowoleni ze współpracy. To właśnie zakon podsunął nam pomysł programu, który objął dzisiaj także pana – wyszczerzył zęby. – *Konferencja dla profesjonalistów*, bo o tym programie właśnie mówimy, wpisuje się głęboko w szeroką liczbę działań prowadzonych przez nasz rząd od samego początku. Znane są panu zapewne imponujące rezultaty operacji *Uczciwy magister?* Reegzaminacja osób legitymujących się dyplomami wyższych uczelni, która objęła jak na razie tylko polityków opozycji, już pozbawiła stanowisk kilkadziesiąt osób, a kolejnym, niegodnym przedstawicielem społeczeństwa zablokowała na trwałe dostęp do sprawowania wysokich i odpowiedzialnych funkcji w państwie – perorował jak z sejmowej trybuny. – Dużym poparciem obywateli cieszy się także aktualnie prowadzona akcja lustracyjno-reedukacyjna środowiska nauczycielskiego. Akurat obecni tutaj przedstawiciele starszego pokolenia kadry, mam na myśli profesora Balonowskiego i panią Żabczyńską, pozytywnie przeszli już proces weryfikacyjny i złożyli *Nową Przysięgę Nauczyciela*, ale wielu innych, niestety, a raczej może na szczęście, musiało na stałe pożegnać się z zawodem.

Słowa wiceministra wyrwały Balonowskiego z płytkiej drzemki jak podłożona przez klasowego żartownisia na krześle pinezka: otworzył na moment szeroko oczy, rozejrzał się dookoła, przełknął ciężko ślinę i upewniwszy się, że jednak nic mu nie grozi, z powrotem pozęgłował do krainy marzeń sennych. Żabczyńska uśmiechnęła się tylko słodko i pokornie spuściła głowę.

– Idziemy jednak dalej, głębiej, mocniej. Czasem także działamy z zaskoczenia. *Konferencja dla profesjonalistów*, jak się pan już może domyśla, to kryptonim dla idei weryfikacji egzaminów maturalnych. Chcemy najpierw, że tak powiem brzydtko, uderzyć w środowisko biznesowe. Ale niech się pan nie boi, zaczynamy od własnych piersi, a ściślej mówiąc, od przedsiębiorców, którzy tak jak pan są blisko związani z ministerstwem różnego rodzaju umowami czy kontraktami. Wie pan, chodzi też o pewność i zaufanie do własnych szeregów. Tu naprawdę nie możemy pozwolić sobie na żadne patologie. Zresztą pan, jako mocno zaangażowany w program *Cherubin*, i wkrótce, daj Boże, *Aniołek*, zapewne bardzo dobrze rozumie, o czym mówię...

Krupa sprawdził, czy na mojej twarzy nie rysuje się cień wątpliwości. Na szczęście krzyczącym w moich myślach słowom: *skandal, jaja, inkwizycja* i *Sonderaktion Krakau* usta skutecznie sznurowała kwota, jaką zainwestowałem do tej pory w proaniołkową kampanię. Absolutnie nie mogłem pozwolić sobie teraz na jakiegokolwiek, nawet najmniejsze zgrzyty na linii rząd-firma, więc dla całkowitego uspokojenia wiceministra wtrąciłem:

– Bardzo dobrze rozumiem, panie ministrze. *Konferencja* wydaje mi się być świetnym pomysłem. Nowatorskim, śmiałym, świeżym, powiedziałbym, stawiającym nas na pewno w awangardzie walki o nowe, uczciwe społeczeństwo.

– Bardzo cieszę się, że pan tak właśnie do tego podchodzi, panie Bielmowski. Nie ukrywam, że liczymy na różne, cenne uwagi dotyczące naszego nowego programu. Stąd także być może mój trochę przydługi wstęp, ale chciałem zarysować szerszy kontekst. Teraz myślę, że możemy już spokojnie przejść do meritum.

Krupa wyjaśnił, że na podstawie licznie zgromadzonego materiału dowodowego, takiego jak: kserokopie moich licealnych cenzurek, prac egzaminacyjnych, sprawdzianów i klasówek, zeszytów, usprawiedliwień nieobecności, dzienników lekcyjnych i zapisów przesłuchań moich byłych kolegów z klasy oraz żyjących jeszcze nauczycieli, pracownicy ministerstwa nabrali podejrzeń co do adekwatności kilku ocen, znajdujących się na moim świadectwie maturalnym. Nie były to od razu jakieś konkretne czy ciężkie zarzuty. Raczej wskazania, że jeśli już coś badać i

przeświecić, to właśnie w tych miejscach. Oficjalny arkusz *Weryfikacji egzaminu dojrzałości*, który otrzymałem, zawierał cztery puste, czekające na podpisy, pola: język polski, geografia, muzyka i religia/etyka. Powyższe przedmioty tłumaczyły jednocześnie jasno skład komisji, która jednak, w związku z niedoborami kadrowymi w ministerstwie, musiała rozejść się w kierunku innych zdających.

– Zostawiamy więc pana tutaj sam na sam z profesorem Balonowskim – powiedział wiceminister Krupa na odchodnym. – I tak do niczego byśmy się nie przydali. No, może ojciec Mieczysław, ale pani Żabczyńska to chyba raczej z języka polskiego już wszystko zapomniała. Mam rację, pani Żabczyńska? – przewodniczący zarechotał przy drzwiach, puszczając przodem speszoną nauczycielkę. Przez chwilę rozważał w duchu, czy własnoręcznie nie ulżyć jej zmęczonym poślądkom w ciężkiej przeprawie na drugą stronę progu, ale widząc Miazdzyńskiego, zaniechał uczynku miłosierdzia względem ciała kobiety i uprzejmie przepuścił także czcigodnego ojca. Za nimi wyszedł Grabek.

Musiałem przyznać, że wybór języka polskiego jako pierwszego przedmiotu do weryfikacji w moim przypadku w ogóle mnie nie zdziwił. Proza i poezja w szkole były dla mnie zawsze tym, czym dla wielu innych uczniów była i jest matematyka: niezrozumiałym, nudnym i zupełnie do niczego nieprzydatnym bełkotem. Z długiej listy obowiązkowych lektur szkolnych przeczytałem w sumie być może trzy pozycje, choć i ta liczba wydaje mi się mocno zawyżona. Dlatego perspektywa pytań o naszą narodową literaturę po prawie dwudziestu latach od matury napełniła mnie grozą. Tak, nasz rząd realizował już nie tylko rzeczy, o których do tej pory obywatelom się nie śniło, ale także wykazywał się dużą sprawnością w urzeczywistnianiu ich nocnych koszmarów.

Profesor Balonowski rozpoczął egzamin od odczytania krótkiego, oficjalnego wprowadzenia z kartki. Czynił to ociężale, z niechęcią.

– *Na świadectwach, wzbici w radość, odlecieli uczniowie, drży powietrze po ich śmigłym zniku*¹, pisał poeta w okresie międzywojennym, gdy nasza ojczyzna odbudowywała się po stu dwudziestu trzech latach utraty niepodległości. Dziś przyszedł czas, aby dawni uczniowie powrócili do swoich świadectw i w imię znów budowy nowego państwa poddali się weryfikacji swojej wiedzy...

Dostałem kartkę czystego papieru i długopis. Na przygotowanie wypowiedzi na temat *Sylwetka Zofii Nałkowskiej w oparciu o powieść Granica* miałem dziesięć minut. Balonowski w tym czasie zagłębił się w ostentacyjnie wyjętym, dzisiejszym wydaniu dziennika *Za*. Dłuższą chwilę wpatrywałem się tępo w pustą kartkę, starając się wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać pani Zofia i jak prezentowałyby się jej sylwetka, gdyby oparła ją o biblioteczkę wypełnioną w całości egzemplarzami swojej powieści. Nic jednak oryginalnego nie przychodziło mi do głowy. Z rozmyślań wyrwało mnie dochodzące zza gazety cichutkie pochrapywanie, a we wnioskach dotyczących stanu pana profesora ostatecznie utwierdził mnie kolorowy numer *Przeciw*, który zgodnie ze swoim profilem, samowolnie wysunął się z prorządowego objęcia *Za* wprost na kolana Balonowskiego. Wyjąłem komórkę i szybko wpisałem zapytanie w internetowej wyszukiwarce. Na szczęście nie obejmował mnie jeszcze nakaz instalacji *Cherubina* ani *Aniołka*. Po chwili miałem już wynotowane nie tylko podstawowe fakty, ale także cytaty oraz udało mi się zobaczyć zdjęcie pisarki. Gotowy, spojrzałem na mojego egzaminatora.

– Ech, panie Balonowski, jeszcze kilka miesięcy do emeryturki i będzie można w spokoju czytać bez zasłaniania – mruknąłem pod nosem, a następnie głośniejszym odchrząknięciem i zacząłem referować: *autorka, powieść, kulminacyjnym osiągnięciem, analiza psychologiczna, pytaniami o moralność... Nie chodzi o to, że musi przecież coś istnieć. Jakaś granica, za którą nie wolno przejść, za którą przestaje się być sobą*²...

Profesor był wyraźnie zaskoczony moją świetną znajomością twórczości Nałkowskiej i pewnością siebie, z jaką ją prezentowałem.

– Bardzo dobrze! To mi wystarczy. Proszę podać arkusz weryfikacyjny – z wewnętrznej kieszonki marynarki wyjął wieczne pióro, odnalazł odpowiednią rubryczkę, ale oderwał się jeszcze i na moment spojrzał na mnie. – A wie pan, że ja rozmawiałem o panu z profesorem Krzemienieckim przed tym egzaminem? Bardzo dobrze pana pamiętał. Widać, że te udane starty w

olimpiadach polonistycznych nie poszły na marne... – uśmiechnął się, wreszcie ożywiony.

Pojęcia nie miałem, kim był profesor Krzemieniecki, ale Balonowski najwyraźniej brał go za mojego licealnego polonistę, który owszem, nosił podobne nazwisko. Ale gdyby stary Krzeziński jeszcze żył, cokolwiek pamiętał i rzeczywiście chciał o moim maturalnym egzaminie powiedzieć prawdę, to musiałby przyznać, że piątkę z pisemnego postawił mi tylko po to, żeby uniknąć publicznej konfrontacji na ustnym. Przez całe liceum doprowadzałem go do białej gorączki poddawaniem w wątpliwość wobec klasy jego trącących poprzednią epoką, politycznych interpretacji utworów. Swoją drogą naprawdę nie wiem, jak mógł przez cztery lata nie zorientować się, że był to prosty sposób na odwrócenie uwagi od faktu, że o treści lektur dowiadywałem się dopiero podczas lekcji. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia, bo w polu *język polski* na moim nowym świadectwie dojrzałości pojawiła się notatka *pozytywnie zweryfikowany* i podpis ministerialnego egzaminatora z datą. Mecz reszta świata kontra Piotr Bielmowski, toczący się jak do tej pory z lekkim wskazaniem na drużynę gospodarzy, nabrał rumieńców po wspaniałej akcji Bielrowskiego, który wykorzystując nieuwagę Balonowskiego, zapalił na tablicy wynik zero do jednego. Trybuny szaleją, grupa kibiców, fałszując, śpiewa hymn narodowy.

W dobrym humorze udałem się na poszukiwanie pracowni audiowizualnej, w której miała mnie przyjąć teraz magister Żabczyńska. Na korytarzu mijałem zdenerwowanych dyrektorów i kierowników, którym najwyraźniej szło gorzej ode mnie. No i dobrze, zaśmiałem się w duchu, trzeba się było, kurwa, uczyć!

Rozbrojenie pani od muzyki poszło mi nadzwyczaj szybko i sprawnie. Kilka komplementów, trochę dwuznacznych uwag pod adresem inteligencji jej przełożonego, wiceministra, moje utyskiwanie na niedocenianą rolę muzyki w edukacji czy wyraźne niezadowolone z wciąż mającej miejsce w naszym kraju dyskryminacji zawodowej kobiet, porozumiewawcze uśmiechy – pani magister poczuła się zrozumiana, a być może uwierzyła nawet, że jestem szczerze zainteresowany jej ciekawym wnętrzem i nie tylko. Sam egzamin polegał na rozpoznawaniu narodowych tańców ludowych. Lista utworów muzycznych do odtworzenia leżała długo i bezwstydnie na biurku, zanim Żabczyńska z wrodzonym sprytem schowała ją za odtwarzacz, przystępując do gruntownego sprawdzenia już nie mojej muzycznej wiedzy, ale pamięci wzrokowej. Wynik osiem na osiem trafień nie zakończył jednak mojej weryfikacji. Żabczyńska nie chciała chyba zbyt szybko pozbywać się mojego towarzystwa.

– Dobrze. A teraz proszę, żeby pan zapisał nutowo kilka taktów utworu, który przed chwilą usłyszeliśmy. Mogę go panu jeszcze raz puścić – zaczęła na powrót majstrować przy odtwarzaczu.

– Uuu, obawiam się pani profesor, że ostatnio częściej mam przyjemność obcować z saldami i bilansami niż z kluczami wiolinowymi i ćwierćnutami. Będę miał z tym problem, jeśli mi pani nie może... – zrobiłem zboląłą minę.

– Panie Piotrze, chyba nie chce mi pan powiedzieć, że zapomniał pan, jak wyglądają nuty?

– Absolutnie nie. Ja tylko, że tak powiem, bardziej czuję muzykę sercem niż potrafię ją przekładać na bezduszny papier. Gdyby pani profesor pozwoliła się porwać do jednego z tych tańców, to myślę, że mógłbym to udowodnić... – podałem jej rękę i posłałem zapraszający uśmiech. – Pani minister tańczy?

– Oj, panie Piotrze, niech pan nie żartuje. Jesteśmy na egzaminie – Żabczyńska z trudem utrzymywała powagę na twarzy. – Znajomość zapisu nutowego jest zawarta w programie nauczania muzyki dla liceum ogólnokształcącego i obowiązuje pana jako abiturienta.

– Zdaję sobie z tego sprawę, pani profesor. I obiecuję, że jak tylko wrócę do domu, to siądę i nie wstanę, dopóki sobie tej znajomości nie odświeżę. Mogę nawet ukłęknać i przysiąc!

– Niech pan się nie wygłupia i wstaje. Ktoś może wejść. Zaliczę panu, bo rzeczywiście dobrze rozpoznał pan tańce. Ale proszę nie lekceważyć nut, to jest naprawdę ważne.

– Oczywiście. Bardzo serdecznie dziękuję, pani profesor.

Odbierając arkusz z podpisem dodałem jeszcze:

– Zaraz idę kupić sobie zeszyt z pięciolinia. Do widzenia. Jeszcze raz dziękuję.

Po wyjściu od Żabczyńskiej zadzwoniłem z komórki do biura. Chciałem dowiedzieć się o postępy wdrożeń w stolicy przed rozmową z Grabkiem, ale nikt nie odbierał telefonu.

– Coś mi się zdaje, że pani Anetka bardzo chce wylecieć z pracy jeszcze na okresie próbnym... – rozmawiałem z monotonnym sygnałem w słuchawce. – Ile razy można tłuc do łba, że ktoś ma zawsze siedzieć na tyłku w sekretariacie!

Zapukałem i wszedłem do pokoju pana magistra geografa.

– Witam pana prezesa – Grabek wyszedł zza biurka i podał mi rękę.

– Witam serdecznie. Co za nieoczekiwane spotkanie, prawda? Jak się tam nasze sprawy mają? – zagałęm rozmowę.

– A dobrze, dobrze. Wie pan, że wczoraj było kolejne posiedzenie komisji w sprawie *Aniołka*? Już prawie mamy większość. Trzeba będzie tylko obiecać coś rybakom dalekomorskim, ale rząd i tak miał to w planach, więc myślę, że nie będzie problemu. Potem głosowanie nad budżetem i możemy zaczynać wdrożenia w całym kraju.

– No właśnie, mieliśmy się spotkać i ustalić nową wysokość prowizji dla pańskiej firmy...

– Tak. Tylko ciągle nie miał pan czasu – Grabek uśmiechnął się. – Dotychczasowe dziesięć procent wydaje mi się być trochę nieprzystające do planowanej skali operacji. Szczerze mówiąc, ja wiedziałem, że się dzisiaj tutaj spotkamy, i dlatego pozwoliłem sobie przygotować wcześniej taki mały aneks do naszej umowy... – Grabek spojrział na mnie jak pokerzysta odkrywający karete asów.

Szczerze mówiąc, podziwiałem go. Był conajmniej dziesięć lat ode mnie młodszy, a zdążył już zostać prezesem firmy, przewodniczącym młodzieżowej przybudówki liczącej się partii politycznej, oprócz tego pracował w ministerstwie, a w następnych wyborach zamierzał startować w wyścigu do sejmowego fotela. Rosła nam nowa młodzież...

Szybko podpisaliśmy wszystkie potrzebne papiery i znów podaliśmy sobie ręce.

– Tak na wszelki wypadek, jakie było pytanie? – odwróciłem się sprzed drzwi.

– *Ziemia naszego kraju*. Temat z gleboznawstwa.

– Aha. No to, do widzenia – uśmiechnąłem się do Grabka. – Z Bogiem.

– Do widzenia. Oczywiście, z Bogiem.

Wyszedłem ciężki na korytarz. Grabek łupnął mnie czterdziestoma procentami, co było dla mnie granicą opłacalności całego przedsięwzięcia. Wiedział, że na więcej bym się po prostu nie zgodził i zażądał maksymalnej stawki. Ale nic to, miałem przecież w ręku trzeci podpis i nadzieję, że mój nowy pan od geografii zabierze się teraz z motywacją do pracy i szybko przepchnie sprawę w parlamencie.

Dzwony stołecznych kościołów rozdzwoniły się za oknem na dwunastą. Ogłoszono półtoragodzinną przerwę w egzaminach. Postanowiłem przekąsić coś na zewnątrz, po drodze na schodach zatrzymał mnie jednak czyjś kobiecy głos:

– Piotr! Piotrek! – uśmiechając się, zbiegła do mnie krótko obstrzyżona blondynka. – No, co jest, starych znajomych już nie poznajesz?

– Anka? Ty też tutaj? – dopiero po dłuższej chwili rozpoznałem w niej moją licealną miłość.

– Ja tu pracuję, ale mogę się na chwilę urwać. Jeśli jesteś wolny, to porywam Cię do mnie. Mieszkam sama, trzy minuty stąd. Chodź pogadamy, sto lat się nie widzieliśmy. No, co się boisz? Nie oskarżę cię przecież o molestowanie – puściła do mnie oczko. – Twoja żona też się nic nie dowie – wybuchnęła śmiechem, ciągnąc mnie za rękę.

– Nie mam żony. Ale mam nadzieję, że ty masz w domu coś mocniejszego. Muszę się napić.

Mieszkała, a raczej gnieździła się, w ciasnej klitce, której jedyną zaletą było dobre położenie. Przy samym wejściu, obok wieszaka na ubrania, znajdowała się prowizoryczna wnęka kuchenna ze stertą brudnych naczyń w zmywaku i maszynką elektryczną, na której Anka zaczęła coś podgrzewać. Usadowiłem się w głębi pokoju na sofie, z kieliszkiem koniaku w ręku, *to z zasobów ministerstwa*, rozluźniłem krawat, *staraj się nie patrzeć na bałagan, przepraszam*, i na chwilę zamknąłem oczy – Boże, co za dziwny dzień.

– Proszę, jedz, póki gorące – po chwili dołączyła do mnie. – Doleję Ci. Dobrze wyglądasz, w ogóle się nie starzejesz. Jak wy mężczyźni to robicie?

Też chciałem odpowiedzieć jej komplementem, ale wyszedł jakoś sztucznie. Anka tak naprawdę nie wyglądała najlepiej, więc zaprzeczyła, i jakby tłumacząc się lub chcąc odwrócić moją uwagę, zaczęła opowiadać: *nie dostałam się na studia, chorowałam, trochę pracowałam, nieudane małżeństwo, wiesz, jak to jest, potem bezrobocie, rozwód, palisz, a ja sobie zapalę, nie, nie mieliśmy dzieci, vegetacja, u rodziców na wsi, dopiero kilka lat temu, tak, koleżanka ściągnęła mnie na posadę do stolicy, jest dobrze, myślę o jakiś kursach, studiach wieczorowych, nie, to na razie tylko plany, z pieniędzmi wciąż kruch, nie, nie mam, za stara już jestem na to, a no wiesz, żyje się, ale co tam u ciebie, i co w ogóle robisz u nas w ministerstwie?*

Opowiedziałem jej troszkę o sobie, o podróżach, o firmie, o tym, co wiem o ludziach z klasy. Staralem się specjalnie nie przechwalać i nie kłuć jej niczym w oczy, i w końcu wróciłem na bezpieczne podwórko jej pracodawcy.

– A słyszałaś o programie *Konferencja dla profesjonalistów*? Twój szefowie właśnie weryfikują świadectwa dojrzałości biznesmenom. Ciężko w to uwierzyć, ale to prawda. Na razie idzie mi dobrze, można powiedzieć, do przerwy trzy do zera dla mnie – bez wdawania się w szczegóły opisałem jej, jak wygląda powtórna matura w ministerstwie.

– No tak, Piotr Bielmowski jak zwykle w świetnej formie. Cały czas ci wszystko w życiu wychodzi.

– Eee tam, przesadzasz.

– Jakie przesadzasz, przecież widać i słychać. Należę sobie jeszcze. Tobie też dolać?

– Należ, ale pamiętaj, że mam dzisiaj jeszcze jeden egzamin do zdania – uśmiechnąłem się na samą myśl o czekającej mnie rozmowie z wielce czcigodnym ojcem doktorem.

– Nie mam żadnych wątpliwości, że zdasz. Już w liceum byłeś gwiazdą. Wszystkie podkochiwałyśmy się w tobie. I pomyśleć, że mogłabym być teraz panią Bielmowską – zaśmiała się już lekko wstawiona. – Pamiętasz, jak mówiłeś podczas studniówki, tam wtedy w kantorku, że się ze mną ożenisz?

– Nic nie pamiętam. Może już nie pij więcej – odsunąłem się trochę, jej bliskość zaczynała mnie drażnić.

– No oczywiście, że nie pamiętasz, bo dla ciebie to wszystko przecież nic nie znaczyło – opróżniła kieliszek do dna. – Boże, jaka ja wtedy naiwna byłam. Wystarczyło się nie zabezpieczać. Ale człowiek był młody, w coś wierzył, kogoś naprawdę kochał... – sięgnęła znów po stojącą na podłodze butelkę.

Powstrzymałem ją, chwytając za rękę. Anka obróciła się szybko, z napięciem popatrzyła mi w oczy. Po chwili milczenia rozluźniła się.

– Nie bój się. Ja ci to wszystko już dawno wybaczyłam. Sama nie wiem, co mnie naszło. Przepraszam cię, Piotrek. To chyba wszystko przez ten ministerialny program. Wiesz, cała przeszłość stanęła mi nagle przed oczami. Matura. Ja bym oczywiście jej drugi raz nie zdała. Dlatego cię podziwiam. Naprawdę. I nie myśl, że ja jakąś alkoholiczką jestem – uśmiechnęła się i zaczęła oswobadzać rękę z mojego uścisku. – Wiesz, człowiek potrzebuje czasem po prostu jakiegoś ciepła... – przeniosła dłoń na moje piersi – ma ochotę przed kimś się wygadać, otworzyć... – rozpięła mi guzik i przygryzła dolną wargę – ja zawsze miałam do ciebie słabość... – wsunęła mi rękę pod koszulę.

Uwolniłem się od niej, wstając z sofy. Odchrząknąłem.

– Wiesz co, Anka, zdaje się, że muszę już lecieć. Dzięki za przyjęcie. Miło było pogadać.

– Tak, tak. Biegnij, biegnij – sięgnęła po butelkę.

Będąc już za drzwiami, usłyszałem jeszcze:

– Biegnij, biegnij, tylko uważaj, żebyś w życiu czegoś nie przegapił!

Po przerwie wysoka komisja zebrała się ponownie. Do pełnego składu brakowało tylko pana Grabka, który, jak wyjaśnił przewodniczący, musiał udać się w bardzo ważnej sprawie do sejmu. Siedząc przy egzaminacyjnym stole, poczułem się nagle okropnie zmęczony tym całym teatrem. W głowie szumiał mi wypity alkohol, pod powiekami wciąż miałem nieoczekiwane spotkanie z Anką. Na ziemię sprowadził mnie głos wiceministra.

– Panie Bielmowski, gratuluję dotychczasowych, bardzo dobrych wyników. Przed panem

ostatni egzamin – spojrział na kartkę. – Tak, przedmiot religia/etyka. Pan wybrał sobie w liceum... etykę. Nie, przepraszam, religię. Ojcie Mieczysławie, prosimy bardzo.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – Miażdżyński rozpoczął oficjalnie ostatnią rundę.

Siedziałem przez chwilę w bezruchu. Ojciec doktor nie kontynuował. Pani Żabczyńska nachyliła się i zaczęła szeptać: *i Maryja, zawsze...* Próbowwała mi podpowiadać, ale Krupa szybko przywołał ją do porządku, uderzając otwartą dłoń w stół:

– Pani Żabczyńska! Znudziła się pani praca w komisji?

Tymczasem znów odezwał się Miażdżyński.

– Panie Piotrze, ja czekam na odpowiedź. Znajomość formuł modlitewnych należy do programu nauczania religii w liceum – ojciec doktor mówił łagodnie i powoli; jak zwykle był bardzo skupiony. – No chyba, że mam uznać, że nie zna pan odpowiedzi? Albo, że pytanie jest dla pana za łatwe i woli pan na przykład wymienić *Osiem błogostawieństw*?

– Przepraszam, zamyśliłem się. Na wieki wieków. Amen – wydukałem.

– Nie do końca o to mi chodziło, ale zaliczę panu, bo w czasach, kiedy odbywał pan edukację, ta wersja była obowiązująca. Zwracam jednak uwagę, że matura to nie jest coś, co zdaje się raz w życiu i szybko zapomina. To zobowiązanie do rozwoju, do ciągłej pracy, także do nadążania za zmianami. Wróćmy jednak do tych *Ośmiu błogostawieństw*. Potrafi je pan wymienić?

– Nie, nie potrafię – odpowiedziałem krótko; zdecydowanie za szybko. Nie poznawałem samego siebie. Przecież powinienem się jakoś migać, bronić, uśmiechać, grać, walczyć. Ale nie potrafiłem się zmusić.

– Rozumiem – zakonnik zanotował coś sobie. – Przejdźmy zatem do kolejnego pytania. Proszę powiedzieć jak wyglądał pana udział i zaangażowanie w obowiązkowe nabożeństwa w szkole średniej?

– Chodzi ojcu o udział we mszy świętej w niedzielę? Starałem się uczestniczyć – odparłem zgodnie z prawdą.

– Nie, chodzi mi o nabożeństwa takie jak, na przykład: Gorzkie Żale, Droga Krzyżowa, Roraty...

– No, chyba także uczestniczyłem...

– Ale nie mówi pan tego z przekonaniem?

– Mówię z przekonaniem – powiedziałem cicho.

Już od samego początku źle wszedłem w rolę. Teraz nawet jakbym mu pokazał karteczki z wizerunkami świętych, które dostawaliśmy w kościele, to by mi nie uwierzył.

– Znakomicie. Jak zatem wyjaśni pan fakt, że na obrazkach, które oddał pan księdzu Różańskiemu w drugiej klasie, jako dowody obecności na Gorzkich Żalach, brakuje pańskich odcisków palców? Przypominam, chodzi o Wielki Post tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku.

Zamurowało mnie.

– Bo mnie się wydaje, że pan te obrazki kupił albo od kogoś dostał, a na Gorzkie Żale po prostu pan nie chodził. Mam rację? – Miażdżyński kontynuował ze spokojem, którego miałem już dosyć.

– Panie ministrze, ja zgłaszam sprzeciw przeciwko metodom, jakie używane są przez ojca Miażdżyńskiego przy tym egzaminie – podniosłem się z krzesła.

– Oddalam sprzeciw. Ojciec Mieczysław posługuje się metodami całkowicie legalnymi z punktu widzenia prawa. I dla pana informacji, na razie bardzo łagodnymi. Proszę się uspokoić i odpowiadać na pytania. Może pan także oczywiście odmówić udziału w egzaminie, ale będzie to oznaczać zawieszenie ważności pana świadectwa do czasu wyjaśnienia całej sprawy. Nie muszę chyba dodawać, jak poważne to ciągnie za sobą konsekwencje? – Krupa popatrzył na mnie ze zdziwieniem, jakby starał się powiedzieć: *I pan, panie Bielmowski? Ile pan ma lat? Panu też się już znudziła współpraca z ministerstwem?* – Czekam. Jaka jest pana decyzja?

– Chcę zdawać – usiadłem z powrotem na krześle, wydmuchując z siebie, jak ze skórzanego pufa, nadmiar nagromadzonego powietrza.

– Szanowny ojciec, proszę kontynuować – Krupa dał znak ręką Miażdżyńskiemu.
– Czy dowiemy się zatem, jak to było z tymi Gorzkimi Żalami? – ojciec doktor zawsze silny, teraz jeszcze dodatkowo wzmocniony pełnym poparciem wiceministra, wychylił się na łokciach do przodu i zmierzył mnie groźnie wzrokiem:

– Tylko niech pan prawdę mówi!!

– Prawdę?! A kto może pamiętać po dwudziestu latach, czy chodził na jakieś nabożeństwa czy nie? – zacząłem się denerwować i chyba, zupełnie niepotrzebnie, podniosłem głos.

– Rozumiem – znów coś sobie zanotował. – Nie pamięta pan. Pamięć ludzka jest wybiórcza. Każdy pamięta co innego. Bo co innego jest dla niego ważne... – przemawiał powoli, z nadęciem, jakby głośił na kazaniu nie wiadomo jaką mądrość. – Ale tak, jak powiedziałem, rozumiem. Może zatem przypomina pan sobie chociaż, jak wyglądał pana udział w nabożeństwach w tym roku?

Znów chciałem się podnieść z krzesła, ale wystarczyło mi rzucić okiem na Krupę, żeby zaniechać kolejnego sprzeciwu. Musiałem się naprawdę wziąć w garść i zacząć myśleć.

– Przepraszam, ale czy moje aktualne uczestniczenie lub nieuczestniczenie w nabożeństwach wchodzi także w zakres programu nauczania religii w liceum? – zwróciłem się do Miażdżyńskiego.

– W pewnym sensie tak. Wie pan, nauczając młodych ludzi religii, staramy się kłaść zdrowe i mocne fundamenty pod budowlę ich przyszłego życia. Patrząc po latach na to, co zostało zbudowane, możemy, zgodzi się pan ze mną, wnioskować czy te fundamenty były położone dobrze czy źle? Czy uczeń przyswoił sobie wiedzę czy też był, jak mówi Pismo, *człowiekiem nierozsądnym, który dom swój zbudował na piasku. Spadł deszcz, wezbrały potoki, zerwały się wichury i rzuciły się na ten dom. I runął, a upadek jego był wielki*³, Mateusz siedem, dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem.

– Nie chodzę na nabożeństwa.

Nie było sensu niczego ukrywać. Za chwilę i tak dowiedziałbym się, że Miażdżyński dysponuje nagraniami wideo ze wszystkich kościołów w kraju z ostatnich dwudziestu lat i ma odpowiedni systemem informatyczny do ich szybkiej analizy.

– Przestałem już dawno w ogóle chodzić do kościoła – dodałem.

– Rozumiem – ojciec doktor wypełnił kolejną rubryczkę. – To wiele wyjaśnia...

Tym razem także Krupa coś sobie zanotował. Wydawało mi się, że gdyby tylko mógł, to chętnie zagwizdałby sobie trzy razy ze zdumienia albo powiedziałby na głos: *no, no, kto by się spodziewał*. W każdym razie nie patrzył na mnie. Może nie chciał, żebym na jego twarzy wyczytał, że właśnie, przynajmniej według niego, oblałem egzamin. Miażdżyński tymczasem przeszukiwał zawartość swojej czarnej teczki. Druga bliźniacza, należąca do wiceministra, leżała symetrycznie po drugiej stronie stołu.

– Czy mógłby pan potwierdzić autentyczność swojego podpisu na tym dokumencie? – podał mi znaleziony papier.

Było to moje zobowiązanie do nieużywania alkoholu i niepalenia papierosów do czasu zakończenia nauki w liceum. Skinąłem głową.

– Proszę pana, na chwilę znów chciałbym wrócić do przeszłości. Studniówka, rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci. W śledztwie pańscy koledzy z klasy zeznali, że w butelkach po napoju gazowanym *Sprite*, stojących pod oknem po lewej stronie sali, znajdowała się wódka, i że był pan jednym z pijących. Czy pan może to potwierdzić?

Znów skinąłem głową. Miażdżyński rzucił Krupie spojrzenie: *to chyba teraz wszystko jasne*. Jego protokół wzbogacił się o kolejną notatkę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy z tej odległości był w stanie wyczuć koniak, który przed chwilą piłem. Gdy dotarło do mnie, o czym myślę, przed oczami stanęła mi wyraźnie absurdalność całej sytuacji. Nabrałem powietrza do płuc.

– Ja bardzo przepraszam – zacząłem powoli. – Ja mogę oczywiście wszystkiego nie rozumieć, mogę się na czymś nie znać. Wydaje mi się jednak, że jestem już dorosłym człowiekiem i chciałbym być traktowany jako dorosły człowiek. Mam trzydzieści sześć lat. To przepytywanie mnie o formułki, o obrazki, o wypity alkohol... Państwo wybaczą, ale o czym my tutaj

rozmawiamy? Bądźmy poważni! Ja nie jestem dzieckiem! Na mnie to już nie działa... Krupa i Miażdżyński o mało nie otwarli ust ze zdumienia. Balonowski spał. Żabczyńska nie wiedziała, gdzie podziąć oczy, najchętniej uciekłaby z pokoju. Zacząłem więc mówić wprost do polityka i duchownego:

– Panowie, ja zgadzam się z programami ministerstwa. Przy kilku z nich nawet aktywnie współpracuję. Ja rozumiem potrzebę weryfikacji. Potrzebę oczyszczenia i potrzebę kontroli. Ale nie zgadzam się na robienie jakiegoś jarmarcznego cyrku z religii i z tego egzaminu. Nie zgadzam się na tę szopkę. Przestańcie robić pośmiewisko ze mnie, pośmiewisko z mojego życia w tym kraju! Ja jestem poważnym przedsiębiorcą, biznesmenem. Ja chcę... ja chcę żyć normalnie. W pokoju zaległa martwa cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał ojciec doktor.

– Pan słyszał, panie ministrze? Pan Bielmowski jest poważnym przedsiębiorcą, i chce żyć normalnie – obaj równocześnie wybuchnęli gromkim śmiechem.

Miażdżyński odwrócił się do mnie. Był cały czerwony na twarzy.

– *Nauka społeczna Kościoła w ujęciu Jana Pawła II*. Ma pan dziesięć minut na przygotowanie wypowiedzi – wrzasnął.

Rzucił kartką i długopisem, który potoczył się i spadł gdzieś pod stół. Schyliłem się, aby go podnieść. Z góry dochodziły mnie ich podniesione głosy: *to niewiarygodne, do czego to dochodzi, ta dzisiejsza młodzież, czcigodny ojciec, potworna demoralizacja, alkoholizm w tak młodym wieku, słyszał pan, panie ministrze, praktyczny ateizm, na pewno palił, a jak z narkotykami, niech mi pan nawet, o tym nie mówi...* Rozglądając się po podłodze, uchyliłem zasłonę zielonego obrusu. Pod stołem siedziała Anka. Patrzyła na mnie nieobecny wzrokiem, po chwili jednak wczepiła we mnie palce, próbowała przytrzymać, całowała, powtarzała w kółko jak nakręcona: *kocham cię, słyszysz, potrzebuję, chodź, przepraszam cię, przecież było nam tak dobrze ze sobą, chodź, no, chodź...*

– Puść mnie, wariatko – krzyknąłem szeptem. – Mam egzamin – wyszarpnąłem się spod stołu.

Spróbowałem skupić się nad białą kartką papieru, ale Krupa z Miażdżyńskim dalej bezceremonialnie i głośno przerzucali się uwagami: *dorosły człowiek, słyszał pan, panie ministrze, a to dobre, ile on ma lat, trzydzieści sześć, a ma żonę, nie, ojciec doktorze, dzieci, też nie, no, proszę, a co z popędem, naprawdę, to już się w głowie nie mieści, chwala Bogu, że przynajmniej nie jest jakimś gejem, co się teraz wyprawia na świecie, kiedyś byłoby to, nie do pomyślenia...*

– Aha, niech pan sobie jeszcze od razu dopisze drugi temat. *Ludzka płciowość a szóste przykazanie boskie*. Doliczam panu pięć minut i ani sekundy więcej – warknął zakonnik.

Na nogach poczułem rękę Anki, która chciała wydostać się spod stołu. Siłą wepchnąłem ją z powrotem i wetknąłem znowu głowę za obrus. Teraz siedziała tam także Bożena, moja dziewczyna ze studiów. Na rękę trzymała małe dziecko zawinięte w kocyk. *Zobacz, jakiego masz ślicznego synka! A ciu-ciu-ciu. Powiedz, ta-ta?*

– Bożena, o czym ty mówisz? Jaki synek? Przecież ty poroniłaś! – wyrwałem jej dziecko, które okazało się plastikową lalką. *Poroniłam, bo nie chciałam tego dziecka! Nigdy go nie kochałam! Nigdy nikogo nie kochałam!* – włączyła się Anka. Teraz zaczęły mówić razem jednym nienaturalnym głosem, jak dwa automaty: *Ale my już wszystko ci wybaczyliśmy. Jesteś wspaniałą. Cudowny. Inteligentny. Męski. Chodź. Nie uciekaj. Co, będziesz tak do końca życia uciekał? Chodź. No, chodź...*

– Co pan tam, na miłość boską, znowu pod stołem robi? – poderwał mnie nagle głos Miażdżyńskiego, aż uderzyłem się głową o blat.

– Przepraszam znowu mi spadł długopis... – wyprostowałem się na krześle.

Wymachując językami i wijąc się wokół gałęzi moich nóg jak dwa jadowite węże, Anka i Bożena zaczęły powoli wypełzać spod stołu. Miażdżyński wychylił się ze swojego miejsca. Po plecach ściekła mi zimna strużka potu.

– No, teraz to już pan przesadził. To jest skandal! – podniósł się z miejsca, krzyczał. – Panie ministrze, proszę o udzielenie zgody na użycie metod nadzwyczajnych!

– Ma pan moją zgodę, proszę działać! – Krupa również wstał od stołu.

Zaczęli zbliżać się do mnie powoli z dwóch stron, jak drapieżniki hipnotyzujące wzrokiem swoją ofiarę. Z przepastnych czeluści swojego habitu Miażdżyński wyjął małe, srebrne imadełko z wygrawerowanym znakiem krzyża. Rzucił komendę: *trzymać go!* i poczułem jak zaciskają się na mnie mocno obręcze dwóch par kobiecych rąk i nóg. Anka sięgnęła mi do rozporoka. Miażdżyński pojedynczymi, wprawnymi uderzeniami palca rozwierał metalowe szczęki imadła. W panicznym odruchu odbiłem się z całej siły nogami od ziemi. Przekoziółkowaliśmy z krzesłem do tyłu, rozbijając się o podłogę. Na chwilę uwolniony zrobiłem szybko jeszcze jednego fikołka i już byłem pod drzwiami. Trzymając rękę na klamce, odwróciłem się ostatni raz do tyłu. Nadciągali czwórka, mówiąc jednym rytmicznym głosem: *Chodź! Chodź! Chodź! No, chodź!*

Po korytarzu gonił mnie, odbijający się echem od wszystkich ścian, gromki śmiech Miażdżyńskiego, rechot Krupy i piski dziewczyn. Z budynku ministerstwa wypadłem jak szalony. Spojrzałem na zegarek: za pięć minut odchodził mój powrotny pociąg. Cudem nie skręcając karku na schodach, popędziłem dalej, z otwartym rozporokiem przez miasto, prosto w kierunku dworca. Popychał mnie i smagał bezlitośnie wiatr, który wzmógł się jeszcze od rana. W jego gwizdach i świstach słyszałem diabelski chichot. Uciekałem, potracając na chodniku ludzi, którzy zatrzymywali się, pokazywali mi palcami i mówili coś do siebie, kiwając głowami. Jakaś starsza pani w berecie próbowała zamachnąć się na mnie kulą, ktoś krzyknął, posypały się upomnienia braterskie w duchu miłości bliźniego.

Na szczęście po chwili za ścianą kamienic, na tle zachmurzonego nieba dojrzałem budynek stacji. Na otwartej przestrzeni wicher wiał jednak tak mocno, że nie byłem w stanie zrobić kroku. Z trudem utrzymując równowagę, przywarłem do brudnej elewacji. Widmo pociągu, mojego wybawienia, odjeżdżającego z peronu beze mnie, stawało się coraz bardziej realne. Trzeba było biec dalej, resztką sił, mimo wszystko. Oderwałem się od muru. Ostatnie, najsilniejsze uderzenie nawałnicy powaliło mnie na chodnik, zabierając też gdzieś ze sobą szarobure chmury.

Nagle zrobiło się zupełnie jasno i cicho. Leżąc na ziemi, zaskoczony, podniosłem swoje oczy wysoko na niebo, i wtedy uderzył we mnie z góry potężny głos. Przeraziłem się, ale jednocześnie gdzieś w głębi serca pragnąłem, żeby coś się stało. Żeby ktoś, żeby jakaś wyższa instancja czy wyższa siła wstrząsnęła moim życiem i moim światem. Żeby zaprowadziła w nim choć trochę normalności, i żeby wlała w niego choć odrobinę sensu...

Początkowo znaczenie słów, wpływających wartkim potokiem do mojego lewego ucha, było dla mnie niejasne; nie rozumiałem ich. Czułem tylko, że dotykały we mnie czegoś istotnego, i choć wypowiedane były naprawdę łagodnym szeptem, sprawiały mi ból:

– Panie prezesie, panie prezesie! Już piąta, pora wstawać! Słyszysz pan? No, co się pan tak na mnie patrzy? Przecież ma pan jechać dzisiaj na konferencję do ministerstwa?

– Tak tak, dziękuję. Już wstaję – podniosłem się do łazienki.

Pani Anetka zrobiła mi kawę i wezwała taksówkę, a przed wyjściem zapytała mnie jeszcze:

– Śniło się panu coś strasznego dzisiaj? Bo kilka razy krzyczał pan w nocy przez sen?...

– Ja krzyczałem? Nic nie pamiętam. Sen mara, Bóg wiara, pani Anetko. Niech się pani jeszcze położy, tylko najdalej o dziewiątej proszę być w biurze. I jeszcze raz przypominam: ktoś ma cały czas być pod telefonem w sekretariacie!

Pociąg jak zwykle spóźnił się kilka minut, a na zewnątrz dworca przywitał mnie silny wiatr. Walcząc z podmuchami, podążyłem znaną mi na pamięć drogą w kierunku Ministerstwa Edukacji Narodowej. Zdecydowanie nie przepadałem za wizytami w stolicy i wczesnymi pobudkami. Ale nie miałem prawa narzekać. Zawarty w zeszłym roku kontrakt z rządem na zakup i instalację naszego programu *Cherubin* zmienił mój mały biznes w jedną z lepiej prosperujących na rynku firm komputerowych. Obecnie byliśmy o krok od zakończenia negocjacji w sprawie dostawy dodatkowego modułu *Aniołek*. Jeśli rzeczywiście doszłoby do podpisania umowy i wdrożeń w całym kraju, mógłbym do końca życia utrzymywać się z samych tylko corocznych opłat za konserwację i utrzymanie systemu. Gra była więc warta świeczki, a koniunktura po ostatnich wyborach bardzo sprzyjająca...

¹ Julian Przyboś, *Lipiec*
² Zofia Nałkowska, *Granica*
³ Mt 7, 26-27